



Wojciech Świdziniewski
Maja Lidia Kossakowska
Jarosław Grzędowicz
Krzysztof Kochański
Alexandra Pavelková
Andrzej Drzewiński
Andrzej Ziemiański
Łukasz Orbitowski
Andrzej Sapkowski
Szczepan Twardoch
Alastair Reynolds
Eugeniusz Dębski
Tomasz Pacyński
Robert J. Szmidt
Milena Wójtowicz
Miroslav Žamboch
Magdalena Kozak
Witold Jabłoński
Andrzej Pilipiuk
Andrzej Zimniak
Jewgienij Łukin
Aneta Jadowska
Anna Brzezińska
Romald Pawlak
Rafał W. Orkan
Marcin Mortka
John Everson
Adam Cebula
Kirył Jeskow
Jacek Inglot
Jacek Dukaj
Ondřej Neff

ONI JUŻ U NAS BYLI, A TY?

Fahrenheit to najstarsze polskie czasopismo internetowe poświęcone literaturze fantastycznej. Znajdziesz tutaj uznanych autorów oraz debiutantów, ich opowiadania, powieści, publicystykę, a także recenzje, quizy i aktualności.

www.fahrenheit.net.pl



Foto: Adam Cebula

Brakło sił. Branko Wukowicz zacisnął zęby, poruszył palcami, znów ostrożnie przycisnął je do skroni rannego. Ten mrugał dziecięcymi, nierozumiejącymi oczyma i ze świstem wciągał powietrze.

Już nie próbował tłumaczyć i uspokajać.

- Zaśniesz, najmilszy - odezwała się zza jego ramienia siostra Ruta. - Nie na długo.

Skoncentrować się. Poczuć falę błógięgo spokoju, który trzeba przekazać choremu.

Za oknem gwizdało, grzmiało, płonęło.

Spokój, na miłość boską.

Przymknął oczy, odprężył się, poczuł - wreszcie - lepłą, ciepłą słabość, płynącą z palców. Ranny przestał rzeźnić, przechylił głowę na bok, z jego ust wypłynęła cienka niteczka śliny. Mikstura się kończyła, z bogatych zapasów winnej piwnicy księcia Tomisława pozostało kilka dzbanów. A piłować na żywca - zwyczajny brak logiki, chłopak nie przeżyje z powodu szoku. Walnąć pałąk po głowie, jak to robią na zachodzie... „To w złym guście, moi przyszli koledzy. Głowa jest bardzo cenna i nie znosi okrutnego traktowania, nawet w sytuacji, kiedy nie udowodniono naukowo obecności w niej mózgu”...

Tak jakby w pamięci zostało cokolwiek z Akademii...

To wszystko snobizm; przepych, bezsensowny jak kosztowne płytki na podłodze, na które bryzga teraz prawie świętecznie jaskrawa krew i spadają odłamki kości; jak dywany, przywiezione dla księcia z dalekich stron - taki z nich teraz tylko pożytek, że choć trochę ogrzewają rannych. Chwała Rozerwanemu, że księżę tego nie widzi.

Dużo prościej byłoby dobijać - na przykład tego, który nie ma większej części prawej nogi - siostra Ruta wrzuciła ją do stojącego na podłodze ogromnego, bogato zdobionego wazonu. Rutka już nie bladła, osiągnąwszy jakąś doskonałą, prawie świętą bezbarwność. Uodporniła się na woń piłowanych kości, zmieszaną z zapachem kwiatowej wody księżnej - jedyne go środka, którym mogli jeszcze walczyć z zarazą. Przygarbione plecy stężały, ale ręce poruszały się coraz zwinniej. Tylko ona jedna została. Miał nadzieję, że inne, te ze szpitala -

zdołały ująć.

- Po wszystkim. - Skinął na dwóch lżej rannych, którzy postanowili zostać w lazarecie i pomagali teraz taskać pacjentów.

Branko ich rozumiał. Gdyby jeszcze tylko udało się przywlec tu Antego... Choćby nawet z lekką raną, byle tylko - zabrać spod ognia...

Branko wyprostował się, mimo woli dziwiąc się wielkości sali - jeśli cały czas, w ogromnym skupieniu, koncentrujesz uwagę na jednej ranie, jednym instrumencie, przestrzeń się kurczy. Pozwolił siostrze na obmycie mu rąk, podrapał się wreszcie po szyi pod przepoconym kołnierzem. Ranni, ułożeni na drogich dywanach, z haftowanymi poduszkami pod głowami, bredzili, śmierzili, cierpieli, prosili o wodę.

- Co to? - zwrócił się do Rutki.

- Oj. - Zarumieniła się, przygarbiła.

- Czekacie, aż sam wyjdzie? I tak miejsca nie wystarcza. Zabierzcie go natychmiast!

Przez drzwi wtoczył się dobry brat z kolejnym rannym na plecach.

- Myślałem, że cię zabili - powiedział Branko.

- Udało się, chwała świętym.

- Chciałbym wiedzieć, jakie wieści przynosisz z miasta.

- Najważniejsza, mówią, że miasta już nie ma...

Jakie akuratne otwory pozostają po ogniostrzałach... Rana w ramieniu na wylot, no i o co tyle krzyku, to dobra rana, można nawet „rękami” zamknąć, ot, tyle, byś mi tu z utraty krwi nie umarł...

Położył młodzieńcowi jedną dłoń na ciemię, drugą - na pierś, jak uczyli. „Przelewanie” mocy - zajęcie niewdzięczne, ale do transfuzji nie ma tu warunków.

- Wina - rzucił przez ramię. - Tam jeszcze było...

- Ej, w-wiesznic! - Do sali wpadł człowiek, a za nim słało się coś równego i jaskrawego na zasychającej już krwi; podtrzymywał brzuch rękoma, a tam to, czego nie da się utrzymać.

- Przypaliła się moja marchewka... Nie dasz eliksirku?

Nagle - jakby w poślizgu - nogi mu się rozjechały i runął na dobrą siostrę.

- Beznadziejny... - samymi wargami powiedziała Rutka znad jego głowy.

- Dziękuję, siostrze, widzę.

Tertius. Wątroba w strzępach, chyba cudem dotarł do lazaretu. Pozostawało tylko włączyć gardło „eliksirku” i wypuścić. Nie ma sensu zajmować się artystycznym cerowaniem...

- Lej, nie żałuj, wiesznic, przecież to moja ostatnia popitka!

Jak on, pomyślał z przesadnym przerażeniem Branko, może z czymś takim jeszcze rozmawiać? Czyżby szok był tak silny?

Rutka przejęła kubek z eliksirem, przyklękła, napiła żołnierza.

- Pij, miły, pij, za chwilę wszystko przeminie, za chwilę...

Jej głos, z godziny na godzinę, stawał się miększy i słodszy, jak zaczynające gnić jabłko, i coraz bardziej przypominał o śmierci.

Człowiek, siedzący pod ścianą, przejmująco powiedział:

- Och-ch...

Wukowicz nie wiedział, co teraz czuje ranny, a właściwie wiedział, ale tylko tyle, co w suchych klinicznych wywodach, które opracowywał dla Uczzonej Rady. Ale mógł wyobrazić sobie - momentalne, zapierające dech uderzenie rzeźkości, euforię spowodowaną zanikiem bólu. I nadzieję - nieuniknioną, przecież krwotok ustał i nawet rana zabliznia się w oczach.

Nadzieja - oto, co najgorsze. Elixir „Duma odchodzącego” nie powstał wcale z myślą o takim zastosowaniu. Powinni go podawać beznadziejnie chorym, by swoje ostatnie godziny

mogli spędzić godnie, bez cierpień; by na granicy śmierci człowiek uświadomił sobie, czym jest życie. Żeby, dzięki zredukowaniu na kilka dni albo tygodni tego, co teraz było tylko nieuniknione i bolesne, człowiek mógł – jeszcze raz – zebrać rodzinę, przespać się z żoną, wykąpać w morzu.

W Radzie długo sprzeczano się o formułę, która zbyt daleko odeszła od zwykłej iluzji. To prawie nekromancja, uważano na Zachodzie, tam eliksiru nie wprowadzono do użytku. W dodatku, dla zdrowych – trucizna; ale kto będzie dawać to zdrowym?

A teraz „dumą” pojono śmiertelnie rannych, żeby jeszcze jakiś czas mogli utrzymać w rękach broń.

- Co z naszym księciem? – zapytał umarłak, stając na nogi.

Z naszym księciem wszystko dobrze. Lepiej, niż z kimkolwiek w pałacu. Spokojniej – akurat to jest pewne.

- Jakiż to twój obowiązek! – krzyczała Drażanka. – Co ty bredzisz?!

Krzyk jeszcze nie zmienił się we wrzaskliwy babski płacz, ale był tego bliski.

- Nie mogę go zostawić – powiedział smutno. Nie mógł również patrzeć, jak Drażanka płacze. – No... Rozerwany z tobą, przecież się umówiliśmy...

Furmanka już czekała, by odwieźć Drażankę z dziećmi do zagubionej wioseczki na granicy z Dragokrainą; tam, gdzie nikt nie skojarzy, że jest jego żoną.

Zło, jak zawsze, przyszło przez Czegowińców. Z początku do wieści z portu nawet nie przywiązywano wagi – Sarawija zmęczyła się walką, sąsiedzi również i wątpy pokój cienkim lodem skuł odwieczną, czarną kałużę rozbieżności. Przypadkowy incydent to za mało, żeby ten pokój zburzyć, ale wmieszał się Cezar Ostlandu – zaproponował księciu Tomisławowi pomoc przeciwko „czegowińskim bandytom”. Branka nie obchodziła polityka, ale nawet z Akademii było widać, że dobry Cezar posuwa się na zachód i potrzebuje wsparcia. Że zaczyna pogrywać z Sarawiją, tak kusząco leżącą przy ostlandzkiej granicy. A odmowy Cezar nie uznawał. Ci, którzy mu odmawiali, najczęściej po prostu znikali z mapy.

Mimo wszystko książę Tomisław powiedział „Nie”. Nic Cezarowi do tego, kiedy i jak mają się bić z Czegowińcami. Parę wieków już się wadzą i, chwała Rozerwanemu, dawali sobie radę bez Ostlandu.

Ale Cezarowi się nie odmawia.

Marszałek Ratimir był jednym z najlepszych dowódców księcia. Tomisław chwalił się nim, gdzie trzeba i nie trzeba. Branko nieraz myślał, że książę boi się marszałka. Czegowińcy bali się na pewno i nawet dzieci straszili Ratimirem. Był jak wściekły pies, którym dobrze jest poszczuć obcych. A Cezar znalazł na niego sposób – przywabił i poszczuł na gospodarzy.

Okazało się, że Ratimirowi wszystko jedno, czyje wsie ma palić – Czegowińców czy swoich.

Marszałek oświadczył, że książę, niby to, zaprzedał się Czegowinie; że próżność nie pozwala mu na przyjęcie szczerze zaproponowanej pomocy. Że Tomisław patrzy nie w tę stronę i je nie z tych rąk, dlatego Sarawija nie potrzebuje takiego księcia. Książę wysłał podwładnego na północ kraju, byle dalej od grzechu; i stamtąd Ratimir ruszył ze swoimi pułkami na stolicę.

Ostlandcy „wolontariusze”, wysłani na pomoc zbuntowanym wojskom, to pół biedy. Co tam!, żadna bieda – w porównaniu z czarnym proszkiem, podarowanym przez Cezara.

Trzeba było wyjechać z miasta, z tego kraju, i nie wracać nigdy.

- Branko... Proszę cię, Braniczku... Kochany mój, przecież nigdy, o nic nie prosiłam... Proszę...

- Na Rozerwanego! Czy ja zostaję, by umrzeć? Kiedy już nie będzie wyjścia, odejdziemy.

Albo tak, albo przez portal.

- Z księciem?

- Z księciem... Wystarczy, przestań, chcesz Jankę wystraszyć...

- Czego ty tu szukasz, nie jesteś wojskowym lekarzem ani wojskowym magiem, potrafisz tylko w książkach grzebać. Dlaczego?

- Nie mogę go zostawić - powtórzył głucho i już bezmyślnie. - To... To dług.

Cała Drażanka... nie, żeby czegoś nie rozumiała, po prostu dla kobiet takie rzeczy stają się nieważne, gdy na miasto idą wojska. Zwłaszcza jeśli te kobiety mają dzieci. Ale on pamiętał, kto dał im willę w centrum Rodna, kto zaprosił żonę do dworu, kto sprawił, że Branko nie musiał do końca życia uprawiać znachorstwa w pobliskiej wsi i mógł zajmować się tym, co potrafił robić najlepiej... Kto przyjął Antego do gwardii pałacowej.

I tak został z Tomisławem, bo ten znowu zaczął mieć kłopoty z oddychaniem i ponieważ ktoś powinien sprawdzić ochronę magiczną od strzał.

Zrobiono z niego w końcu chirurga polowego. Jak Bóg miły, śmiechu warte; byle cyrulik ma większe doświadczenie.

Syna zobaczył przypadkowo. Wolałby w ogóle nie wiedzieć. Wypatrzył na placu przed bramą pałacową, gdzie zbierała się gwardia.

- Ante, co za... Gdzie matka? Nie udało się wam wyjechać?

- Oni wyjechali - powiedział syn, zasepiony. - Matka z Janką... prawdopodobnie minęły już Plao. A ja...

Nie musiał nic mówić. Granatowy płaszcz, biała szarfa, biała wyszywana chusta, dziarsko owinięta wokół szyi - strój „książęcych obrońców”.

- Sam mówiłeś o długu! Co, zaprzeczysz teraz? Czyżby ten strój był tylko od parady? Jestem gwardzistą księżęcym, mam obowiązek bronić pałacu.

Jasnolicy, piękny Ante. I strój piękny - strój zabawnych żołnierzyków, w którym można paradować w świątecznym orszaku, szyty nie z myślą o walce.

- Wszchemocny Rozerwany, tu w pałacu nie jesteś nikomu potrzebny! Lepiej matkę byś chronił. Jak to się stało, że pozwoliła ci odejść?

- No, a ciebie - powiedział Ante, patrząc spode łba - przecież puściła. Jesteś tu.

Wukowicz myślał gorączkowo: jak? Dokąd? Z kim go teraz odesłać? Furmanki nie znajdzie. Wielu uciekło z miasta. Place opanowało echo, ulice stały się bojaźliwie ciche i błąkało się po nich zdumione, pozostawione przez gospodarzy bydło.

Ante nerwowo przebierał nogami:

- Ojczy, muszę wracać do szeregu. Powieszają mnie, uznają za dezertera!

No tak, mogą. Taki czas, kiedy z rozpaczki bijesz swoich, jeśli obcych nie możesz osiągnąć.

Być może zdążyłyby zabrać chłopca, zerwać chustę i płaszcz, i zamknąć, póki się to wszystko nie skończy.

Ale właśnie wtedy go znaleźli i powiedzieli, że ksiązę jest ranny.

Ksiązę Tomisław, który udał się na negocjacje ze swoim byłym marszałkiem, wrócił na noszach.

- I co, nic nie można zrobić? - zapytał komendant Stefan.

Księżna milczała, wyprostowana w fotelu. Nikogo więcej do gabinetu nie wpuścili.

Ksiązę wyglądał na zmęczonego i brudnego, jakby wyjechał nie za miejskie mury, ale wrócił z wielomiesięcznego marszu. Nie donieśli go do sypialni, a położyli w gabinecie na kanapie, na której zdarzało mu się odpoczywać po atakach serca. Do kogo chciał apelować? Kogo zatrzymać? Ochrona próbowała go pohamować, ale tylko się opędził -

i do czego, wobec tego, potrzebni gwardziści?

„Ma kawałek ołowiu w sercu, co mogę zrobić?” – omal nie zapytał Branko, ale zawstydził się księżnej. Nawet jeśliby księżę wziął go ze sobą, w niczym by nie pomógł.

- Jesteś przecież magiem – powiedział komendant.

- Magii, która tu potrzebna – ze złością powiedział Wukowicz – mnie nie uczyli.

Na podłodze, przy kanapie, nietaktownie rozlało się spokojne, słoneczne światło. W buteleczce z wyciągiem efedryny, którą księżę zawsze miał pod ręką, prawie nic nie zostało; trzeba by zamienić...

- Dobrze – nagle odezwała się księżna. Obaj spojrzeli na nią. Wyprostowana, z nieobecny spojrzeniem, powiedziała: – Dobrze, że nie mieliśmy dzieci.

To spojrzenie bardzo się Brankowi nie podobało. Nawet kiedy pogrążył ją we śnie, nie odprężyła się, nadal siedziała wyprostowana, jakby to nie jej męża, ale ją skuł śmiertelny chłód.

Komendant Stefan zatrzymał go w maleńkiej, jeszcze cichej poczekalni. Miał taką minę, jakby coś go mocno rozzłościło i ze wszystkich sił próbował trzymać się w ryzach.

- Wszyscy mówili mu, by nie jechał. Wszyscy!

Też tak mówiłem, pomyślał Wukowicz.

- Generał Duszan zablokowany w Niewicy. Z zachodu też nikogo do nas nie przepuszczą, pan marszałek urządził nam, oględnie mówiąc, kocioł. A jego wysokość z nim rozmawiał. Rozmawiał! Wyobrażasz to sobie, wiesznic? – powiedział, prychając.

Branko nerwowo pocierał dłonie – nie mógł się powstrzymać.

- Oni myślą, że księżę jest ranny. Nie powiedziałem im. Proszę też nie mówić o śmierci. Mów, że ranny, ciężko ranny... No, przecież jesteś lekarzem.

- Dlaczego? – Wukowicz oderwał wzrok od podłogi. – Ludzie będą walczyć za nieboszczyka?

- A co, może trzeba o tym krzyknąć z dachu? Żeby się rozbiegli i skazali miasto na zagładę?

- A może – zaczął Wukowicz – lepiej, by się rozbiegli, schronili w domach, póki nie jest za późno.

Stefan zacisnął wargi:

- Jesteś, m-m, ugodowym człowiekiem, wiesznic. Na razie – ani słowa o księciu. To nie prośba, to rozkaz.

- Proszę rozkazywać... swoim – wypalił Branko, patrząc w bok.

- Proszę posłuchać – ponuro powiedział komendant. Zmarszczył czoło: niby dlaczego ma się tłumaczyć przed jakimś lekarzem?

- Pułk generała Wojta zbliża się do miasta. Zostało jakieś dziesięć wiorst. Jeśli doczekamy... możemy jeszcze obronić Rodno.

Pułk generała Wojta. Teraz Czegowińcy walczą z nimi ramię w ramię... Wiedzą, że Sarawija stała się pierwszym, ale nie ostatnim karbem na mieczu Mocarstwa.

Z twarzy komendanta można było wyczytać, że nie tylko z generałem Wojtem, ale nawet ze Zgniłym gotów się sprzymierzyć.

- Jeśli nawet dotrą, to co oni mogą przeciwko tym?

Miasto ukryło się za murami, najeżyło ostrokołem, nagrzało smoły. Ale ratimirczycy strzelają ogniem i ołowiem; co im przeszkodzi w zburzeniu murów, wysadzeniu kamiennych ścian?

Tym bardziej, że Rodno również nie było zbyt dobrze zabezpieczone. Temu, kto je budował, bardziej zależało na pięknie. Po wizycie Ratimira chyba już nikt nie dostrzeże tu

„Sarawijskiej Gwiazdy”. Landrynkowy, cukrowy pałac nie jest twierdzą.

- Zamilcz, wiesznicu, albo rozkażę cię aresztować. Jeśli Ratimir zdobędzie miasto, to dokąd ci ludzie uciekną? Kto im pomoże się ukryć?

- Oby cię Jeździec zabrał - powiedział Branko.

- Zabierze.

Kiedy wrócił na plac, po pułku gwardii nie było nawet śladu. Mogli go zostawić choćby do ochrony pałacu. Siedemnastoletniego chłopaka. Boże.

Stał i myślał: co robić? Do szpitala? Księżciu nie bardzo się przydał.

A potem, bardzo szybko, okazało się, że do szpitala już nie można dotrzeć. Zaraza weszła do miasta, wlała się w ulice i zaczynała podchodzić do serca. Zaraza w brązowo-purpurowych barwach Ratimira. Choroba przyszła z wybuchami, z grzmotem, otulona zapachem ciemnego dymu. Z czarnym proszkiem, pożerającym życie tak samo niestrudzenie, jak dżuma. Dżumę młody wiesznic Wukowicz zdołał kiedyś zatrzymać, wynalazł środek, ale przeciwko tej epidemii nie pomoże żadna „pajęczyna Wizińskiego”...

Miasto zmieniało zarysy; jakby się osuwało w oczach. Walki trwały teraz na ulicach, najprawdopodobniej beznadziejne - wiadomo, że dozwolona magia przeciwko ostlandzkiemu proszkowi, to tak jak wyciąg z serdecznika przeciwko cholercie.

Branko zaczął prosić Pana. Kiedy zasiadasz w Radzie, zwracać się do boga jakoś nie wypada. Ale teraz zaczął błagać Rozerwanego. Proszę, niech on ocaleje. Proszę, on gdzieś tam, w mieście, ja nie dopilnowałem - chociaż Ty przypilnuj... Ale szybko zwątpił - ilu takich jest? Czy Najwyższy powinien oszczędzić jego Antego? A jeśli postanowi - po takiej prośbie - celowo porazić chłopca, żeby przypomnieć o powszechnej równości wobec nieba...? I przestał się modlić, po prostu tylko powtarzał: proszę, proszę...

Do pałacu napływali ludzie - ci, którzy w czasie pokoju nie mieliby żadnych szans tu się dostać. I ranni - ci, którzy uratowali się spod ognia, kulejąc albo zaciskając ramię, ci, którzy wydostali się z rozwalonego domu i ci, co dostali rykoszetem. Takie rany Branko widział po raz pierwszy. W książkach pisali o zatrutych strzałach i przeklętych bełtach, a opisem czarnego proszku bali się brudzić stronicę.

Brakowało miejsca. Na lecznicę przeznaczono jedną z sal.

To nie szpital. Burdel, jak mi Bóg miły.

Primus, secundus, tertius... (I zdechłus, obowiązkowo dodawał ktoś z ostatnich ławek).

Trzy stopnie trudności - pierwszy, kiedy uzdrowiciel poradzi sobie „rękami”, drugi, kiedy uszkodzenie wymaga interwencji, trzeci, kiedy ani moc uzdrowiciela, ani interwencja nie gwarantują wyzdrowienia... Gdyby tak jeszcze mieć w zanadrzu coś oprócz tego, co zostało wbite do głowy na pierwszym roku. Tym tutaj potrzebny jest lekarz, a nikt nie pomyślał, że Branko nie prowadził praktyki od czasu, kiedy wzięto go do Rady.

Secundus. I na tym zakończmy. Ten był trzeci - z kawałkiem ołowiu, wbitym na amen w żebro. Mówili, że wielcy mistrzowie stworzyli samą śmierć, ale i śmierć czasami się myli. Ten ranny miał szczęście - dlaczego nie miał go książę?

Jeśli wierzyć lekko przestarzałym traktatom Sylwestra Salwańskiego, wszyscy tu są przekłęci, bo zetknęli się z czarnym, ostlandzkim proszkiem. Zresztą, spod pióra Sylwestra Salwańskiego zazwyczaj wychodziły tezy daleko odbiegające od nauki. Przeklęty może być ten, kto trzyma broń, ale nie ten, kogo zranią.

Elfy miały swoje określenie ostlandzkiej magii - fall. Zgnilizna, ciemność, zło. Od tego, kto jej używa, odwraca się los. Branko bardziej wierzył elfom niż Sylwestrowi.

- Płonie - powiedział dobry brat. - Tam, na północy, wszystko płonie. Wszędzie dym....

Szpital należał do Akademii i stał przy miejskiej bramie - żeby luminarze mogli

z łatwością do niego dotrzeć.

- Wiesznic?

No jak, zadowolony jesteś teraz? Zadowolony, że znalazłeś się tu, w pałacu?

- Wiesznic Branko! Tu... jeszcze dwaj.

- To nic... Nawet krwi nie ma - powiedział ochotnik. - Kamień. Tam latały... kamienie.

Siedział zgięty, bielszy od ściany, o którą się oparł. Szarpnął się, kiedy Wukowicz ostrożnie przyłożył dłonie do jego lewego boku.

- Zaraz wstanę - powiedział. - Tam... tylko Zgniły wie, co się dzieje. Takie dudnienie... I kamienie.

Pod dłońmi Branka krew, wypełniająca wnętrzności, zmieniała bieg, wchłaniała się. Złamane żebra - mogło być gorzej, a ten oddycha i rozmawia...

- Ja ci wstanę. Tymczasem siedź. Ani drgnij.

Kolejnemu poszczęściło się mniej. Tertius... Trzecie stadium, płynnie przechodzące w czwarte, omawiane dogłębnie w audytorium. Już z przyzwyczajenia Branko odmierzył jeszcze jedną dawkę „dumy”.

- Byłoby lepiej, gdybyś zamiast eliksiru rozwiązał sekret tego proszku...

Branko spojrział na dobrego brata. Chociaż... Co się dziwić: w Ostlandzie też wierzą w Rozerwanego, ale nie przeszkodziło im to stworzyć fall.

- Nikt by nam nie pozwolił pracować nad czymś takim. Tym bardziej używać.

- Teraz pozwoliliby.

Prawdopodobnie miał rację. Trzask zdobycznej broni dochodził już z tej strony muru...

Dobry brat, z zaciśniętymi ustami, spoglądał na Wukowicza spod przymrużonych powiek. Tak patrzą, kiedy celują. Współczucia zostało w nim tylko dla rannych, a tak - ogniostrzał w ręce i...

Nie mylił się Sylwester Salwański. Wszyscy oni są przeklęci.

Branko czuł się coraz lepiej. Odczucie było przyjemne, chociaż wiedział doskonale, co to oznacza. Tylko oddechu zaczynało brakować.

- Co to się porobiło - westchnął stary Żużan. - Usiądź, mówię...

Żużan, książęcy mag, zszedł z wieży. Po tym, jak kwękał, kiwał głową i unikał jego wzroku, Branko zrozumiał, że ochronne zabezpieczenia pałacu rozłazą się magowi w rękach równie nieubłaganie, jak pod jego palcami - skóra i ciało.

Branko runął na puf, opuścił głowę na ręce. Poczul spokój. Na granicy przytomności pomyślał, że teraz zaśnie.

Nie, nie, nie wolno. Ante...

- Trzymaj. - Staruszek podał mu skręta koczczy. Branko ze wszystkich sił wciągnął drogocenny dym. Po pierwszym zaciągnięciu ból głowy prawie ustąpił. Zniknęła mgła przed oczyma, świat, widziany przez brudną szybę, rozpogodził się jak we śnie.

- No i masz ci wojnę. Cały dom do góry nogami. Walczymy na rynku, szpital urządziliśmy w pałacu, a gdzie grzebiemy zmarłych? Głupio mówić, w parku. Żadnego porządku.

- Portal - powiedział Branko ochryple. Tutejszy, o ile mu było wiadome, prowadził do południowych sąsiadów, którzy z nikim nie walczyli.

- Nie wiesz, że nabrano nas z portalem, dobry człowieku...

Portale wiązano z zakazaną magią. Korzystanie z nich uważano za niebezpieczne i odradzano podróże tego typu. Jeśli nawet otwierano portale, to tylko pod nadzorem Rady i w wyjątkowych przypadkach. Ale tym razem portal okazał się sprawą polityczną, a polityką Rada się nie zajmuje i do wojen nie miesza. Powiedzieli, że w ciepłym kraju, gdzie znajduje się Sala Mądrej Rady, przygarną każdego z członków wraz z rodziną i dobytkiem. I -

to wszystko. Pewnie nie powinien siebie winić. W końcu sam postanowił zostać.

- Drzwi bardzo stare - powiedział Żużan, zabierając mu koczcę. - Elfy budowały... Masz, trzymaj, wampirzy korzeń, pożujesz...

Obok portali wybudowanych przez elfy ignorant mógł chodzić w nieskończoność - i chodził, bogobojnie stąpając po zimnej podłodze kaplicy, nie czując magii. Doświadczony człowiek wyczuwał je natychmiast. W dawnych, błogosławionych czasach Cudowni nie maskowali swoich przejsć. Ale wyczuwać - jedno, a otworzyć - drugie. Elfy, jak dzieci - zabawią się, rozrzucą kwiatowe płatki iluzji, dla nich to jeden ruch dłoni, a dla Rady - lata łamania głów. Ale - najprawdopodobniej - portal jest zamknięty na triadę, a o triadach napisano w starych traktatach, być może i u samego Enwela MacRoana... Nawet jeśli jeszcze nikt nie bierze z pałacowej biblioteki ksiąg na rozpałkę, to takich tam nie ma.

Mag podniósł wyraźnie ślepe oczy:

- Myślałby kto, że są ci potrzebne? Co ty w ogóle tu robisz? Proponowali przecież, do Łuriczczy... Wyjechałbyś z rodziną, to byś teraz pił czykijskie...

Wszyscy wiedzieli, co znaczy dla Rady „nierekomendowany”.

- Tu, wydaje się, beznadziejnie. Komendant mówi, że kocioł. Triady potrafię sobie przypomnieć...

...i Branco zaczął recytować, wykonując rękoma rytualne gesty; pozwalając duszy zawrócić o kilka tygodni wstecz, przypominając sobie o nieuniknionym smaku atramentu na wargach, po tym, jak ręce dotykały stron - najsłodsze dotknięcie na świecie...

Żużan słuchał i zniknął - niepostrzeżenie - szedł na środek kaplicy, krzątał się nad grubą, kamienną płytą. Potem wracał.

Branka już nie obchodziło, co działo się na zewnątrz; wątpliwości nie ulegało tylko, że miasto się zmniejsza, zwiera się i pożera je jakby gangrena. Trzaskało, klaskało, grzmiało coraz bliżej. Potem zaczęło wybuchać tuż obok i akuratne zranienia szybko zmieniły się w nieporządne.

- Artyleria - przeklął ktoś przy ścianie.

Przyjaciela Antego zwali Żywko albo Zdrawko. Branko zerwał się i podbiegł do niego, ponieważ przez sekundę wydało mu się, że gwardzista taszczy na sobie jego syna, z na w pół oderwaną czaszką. Okazało się, że to chłop potężny, niemłody. Granatowy płaszcz, przesiąknięty krwią, na ramionach stał się liliowy.

- Kto to?

- Kapitan...

Dla takich to nawet eliksiru szkoda.

- Przecież on oddycha! On... nie widzieliście, jak walczył!

Równymi, czystymi bandażami, na które zużyto, najprawdopodobniej, prześcieradła ich łaskawości, Rutka ostrożnie owinęła to, co zostało z głowy.

- A kapusty nie kupuj - pouczająco powiedział kapitan, patrząc w jej oczy. - Nie kupuj u niego kapusty, słyszysz? Za główkę zdziera pięć groszy.

Wukowicza nagle ogarnął śmiech; odwracając się od chłopaka, który wykrzywił usta, udał, że kaszle w kułak.

- Ante kazał powiedzieć, że żyje.

Śmiech się urwał.

- Nie jest ranny?

- Nie. Opuściliśmy barykady, tam już nie ma nic do roboty. On dowodzi przy Letniej Bramie, ponieważ zabili Gorana.

- Dowodzi? Szlag by...

A spojrzenie Żywko mąci się, niedobrze... Wukowicz podtrzymał chłopca, posadził, obejrzał. Wcześniej długo obmacywałyby czaszkę, wpatrywałyby się zamkniętymi oczyma, próbując dojść, czy nie poplątał się gdzieś złożony deseń zdrowych tkanek.

- Siostró, proszę położyć go gdziekolwiek...

- Nie chcę, przepraszam, muszę wracać, tam są nasi...

„Muszę, ojczulku, jeszcze nie skończyliśmy, wypuść, chłopaki na mnie czekają!”

Swołocz, jasno i z przekonaniem pomyślał Wukowicz. Nienawidzę.

- Uciska - poskarżył się kapitan.

- Zaraz przestanie - cicho powiedział Branko. Ruta patrzyła na niego, stojąc bez ruchu przy stole.

- Co tak zastygłaś? Odwróć się - powiedział ze złością, łamiąc zasadę, której zawsze tak dokładnie przestrzegał w stosunku do sióstr. - Nie patrz, Rutka, do kogo mówię!

Odwróciła się, odeszła. Jej plecy były jak chodzący wyrzut. Branko przełknął ślinę. Drażanka miała rację, on się nie nadaje na wojskowego lekarza.

Całkiem blisko - cienko, rozpaczliwie jak głos młodzieńca, zadzwieczyła struna lutni. Branko nawet teraz, gdy dziwić się już nie było czemu i kiedy, zdumiał się ludzkiemu dążeniu do malowania wojny kolorowymi farbami, szukania - i znajdowania - w niej piękna.

Zajrzeliby tu, do lazaretu i napatrzyliby się do woli, jak mi Bóg miły.

Dobry brat wpadł do sali w pełnym pędzie, poślizgnął się, pojechał się po podłodze.

- Wasza uczoneść - wypuścił powietrze - przygotujcie szybko waszych rannych.

- Co takiego?

- Nasi odbili Letnią Bramę, za chwilę podstawią tam furmanki.

- Którędy? Przecież most...

- Oczywiście, że nie przez most. Po Dolnych Uliczkach. Póki jeszcze można wydostać się z miasta...

Jeśli można... Jeśli Rodno nie jest otoczone całkowicie i wozy z rannymi nie zostaną przechwycone na wyjeździe. Mimo wszystko to szansa. Zanim ratimirczycy w upojeniu opanują miasto, będzie czas, by rozlokować gwardzistów po domach i schronieniach - trochę wypoczną, przynajmniej staną na nogi i ujdą w lasy...

Przynajmniej ci, którym się poszczęści.

Rannych, których lepiej było nie ruszać, ułożono przy najdalszej ścianie. Jeszcze mieli szansę - na eliksir nie zasłużyli, ale podróży na trzęsącej się furmance nie przeżyją. Pozostali ożywiali się, stawali na nogi, teraz było widoczne, że bardziej niż ból przygniatał ich strach, który przesycił powietrze gęsto, jak smród wody kwiatowej. Branko też przypomniał sobie o swoim strachu i wyskoczył przez okno tarasu, złapał jakiegoś gońca, poprosił, by odnalazł Antego.

- Powiedz prawdę o księciu!

Rutka nie chciała wsiąść na furmankę. Niby że ona siostra - i tu potrzebna.

Trzeba było ryknąć:

- Poszła, powiedziałem!

- O co chodzi, ojciec? - spytał zdyszany, spocony chłopak. Oczy błyszczą. Cały ubłocony i na płaszczu rude plamy, ale nie ranny.

I w rękach - zdobyty na wrogu ogniostrzał.

Co robić? Wytrącić mu to coś z rąk, nakrzyczeć, by nawet nie próbował dotykać? Żeby zostawił to wrogom, bo wystarczy samostrzał?

- Pomóż. - Branko wskazał na nosze. Syn chwycił za rączki, zdumiony. Wyciągnięto go z ognia walki jak z ciepłej wody - na zimne powietrze.

Na furmanki napierał tłum; jeszcze kogoś przygniotą. A Brankowi wydawało się, że pałac był pusty... Ale ci tutaj nie przeciwstawia się gwardziście z ogniostrażalem.

- Uchodź z nimi - polecił synowi. - Wyjedźcie z miasta, tam tamtych być nie powinno... Postaraj się odnaleźć matkę.

- Jakim prawem? - dźwięcznie zapytał Ante. - Dopiero co odbiliśmy Letnią Bramę. Nie na długo, oni zaraz wrócą. Nie pojedę nigdzie, służę księciu.

- Zginął twój książę! Nie ma już księcia.

Chłopiec zakrztusił się.

- Był już martwy, kiedy go przywieźli - cicho powiedział Branko.

- To dlaczego ty... - pytanie ugrzęzło Antemu w gardle. Dookoła krzyczeli:

- Szybciej! Szybciej!

Rannego wciągnięto na wóz. Rutka, pogodzona z losem, ułożyła głowę żołnierza na swoich kolanach.

- Ich trzeba ochraniać, Ante!

- Tu znajdują się - spojrzenie chłopca lekceważąco prześliznęło się po wozach - ochroniarze.

- Ante, powiedziałem! - Chwycił go za ramiona, poczuł pod rękami twardą tkaninę płaszcza. Nowiutką tkaninę. Syn wywinął się, odskoczył, w czarnych oczach zabłysnął gniew, by zgasnąć po chwili.

Nie był już autorytetem dla Antego; chłopiec teraz będzie słuchać tylko tych w mundurach i z bronią, których głos jest usprawiedliwiony rozkazem. Ojciec już nie ma nad nim władzy.

- Nie mogę teraz! Znów ich odeprzemy. - Na wargach tańczył mu krzywy, zły uśmiech. - Oni mają za mało ludzi! Zdali się na magię, zarazy!

Splunął. Czuł się nad wyraz dorosły.

- Synku - słysząc swój głos, nagle zrozumiał, że się postarzał. - Synku, proszę cię...

- A... - Ante przełknął ślinę - a ty ?

- Ja... Mam tam ciężko rannych. Nie wolno ich ruszać. - Ja... trochę później. Portalem.

- Wobec tego i ja pójdę z tobą tą drogą.

Przed nim stał zuchwały, młody wojownik z ogniostrażalem. Tym razem bez zwykłej, upartej miny, z wyrazem bezosobowego oczekiwania - kiedy ta rozmowa się skończy i będzie można zająć się sprawą.

- Pójdę z tobą - powtórzył. - Matka mi łeb ukręci, jeśli cię zostawię!

Z Branka wyklął się nie mężczyzna, a uczonec. Co w takim razie wykluje się z Antego?

Już pędził do syna wzburzony goniec - źrenice rozszerzone, jakby to, co się dzieje, w żaden sposób nie mogło się w nich pomieścić. Wysłuchując jego trajkotania, Ante ze skrucą patrzył na ojca.

Ze skrucą - i z ulgą, jak w dzieciństwie, kiedy udawało się uzyskać dodatkowe pół godziny zabawy.

- Ante! - krzyknął za nim ojciec. - Powiedz swoim, że książę zginął.

Wydawało się, że niedawno był poranek; a za oknami już ciemność i sala z zapalonymi świecami wygląda nadzwyczaj spokojnie, jak szkolny dortuar.

- Słuchaj, wiesznic, rozwiąłem jakoś iluzję, ale samemu trudno otworzyć portal... - Mag pokręcił siwą głową.

- W porządku - spokojnie powiedział Branko. - Otworzymy razem.

Machnął ręką w powietrzu. Staruszek szybko pogrzebał w przepaścistych kieszeniach szaty, wyciągnął jeszcze jednego skręta, przypalił i wsunął Brankowi w zęby - jak

szkieletowi w teatrze anatomicznym.

- Coś mi się wydaje, że ty nie otworzysz nawet drzwi do wychodka. Masz febrę.
- Mam syna - powiedział Branko. - Płacze się tam. Damy radę, otworzymy.

Czuł się bardziej rześki.

- Jakby co... To był mój pomysł z portalem. A oni ze swoimi rekomendacjami...

Powiedział Żużanowi, co o nich myśli. W naukowych terminach.

Zbliżył się dobry brat. Kiwnięciem wskazał na jeszcze jednego rannego: zakończył mękę.

Mag pokiwał głową:

- Słuchaj, Wukowicz, przecież dla nich portal to śmierć...
- A po co im portal - powiedział Branko półgłosem.

Tych dwóch ma taką temperaturę, że nie wiadomo, czym to się dla nich skończy. Musieliby poleżeć parę dni po operacji... Potrzebny im przyzwoity lekarz, a nie wypierdek z biblioteki.

- To znaczy, że będziesz czekać na Wojta?

Tak, oni muszą czekać na generała Wojta albo na wojownika Ratka na złotogrzywym koniu lub na Dzikich Ochotników księcia Stanisłasa. Na pewno ktoś wreszcie przyjdzie.

- Żużanie... Zostało ci jeszcze trochę ziela?
- Wiedziałem, że zażadasz - powiedział staruszek, nie kryjąc rozczarowania.

Księżna przeszła wzdłuż sali, pochylając się nad rannymi, podając wodę, szepcząc zaklęcia uśmierzające ból niczym jeszcze jedna dobra siostra. Nie wyglądała na zaniepokojoną albo wystraszoną, nie unosiła sukien, krocząc po podłodze zabrudzonej krwią i wymiocinami. Ale od tej chwili stała się bardziej bezcielesna i widmowa.

- Wiesznicu... Mogę cię prosić na dwa słowa? Komendant Stefan opuścił miasto - powiedziała, gdy podszedł.

- Przecież zamierzał czekać na generała Wojta - zdziwił się Wukowicz. Trudno mu było uwierzyć w to, co usłyszał.

Księżna uśmiechnęła się skruszona.

- W każdym razie - przełknął ślinę. - W każdym razie proszę się nie niepokoić. Portal będzie wkrótce gotowy, Wasza Miłość.

- Wiesznicu... Branko, zamierzam wybrać się w inną podróż. Ja też... Chcę prosić, abys dał mi eliksir.

Znów się uśmiechnęła. Nieśmiało, nawet ze skruczą, jakby prosiła o wybaczenie za męża, który zrobił niewybaczalną głupotę.

- Księżno, rozpacz powoduje, że nie rozumie Wasza Miłość, co mówi. Nie dam takiego środka.

- Jesteś moim poddanym - powiedziała stanowczo, bez emocji i zrozumiał, że to ostateczna decyzja. - Nie mam już męża i nie mam kraju. Nie czas na ucieczkę, bo komu potrzebna... księżna ze spalonego księstwa?

- Wasza Miłość.

Nie można się przebić przez jej zdecydowanie, podobnie jak przez upór Antego. Branko wziął jej dłonie w swoje i znów pojawiło się odczucie, jakby dotykał zjawy. A palce Drażanki były zimne od łez i silne, czepiały się płaszcz, próbując zatrzymać męża. I natychmiast puścił, przerażony - za kogo on się uważa?

- Pani, jedynie ty ocalałaś z książąt Sarawii. Rozumiem, straciłaś męża. Ale naród...

- Czy nie słyszysz? Naród śpiewa hymn na cześć Ratimira. A to - skinęła głową w stronę zalegającego nad placem dymu - już nie Sarawija.

Ranny z amputowanymi nogami, który najgłośniej jęczał, teraz, leżąc na dywanie,

uśmiechał się błogo do Wukowicza. Ssał skręta z koczcy, którą podzielił się stary Żużan, i było przyjemnie na niego patrzeć. Samego Branka narkotyk na długo nie uratował. Znów chwyciło, załomotało w skroniach; w dodatku ręce wstrętne osłabły i drżały. Febra... Wukowicz wyciągnął schowany na czarną godzinę wampirzy korzeń i zaczął żuć.

Dobry brat zerwał się nagle.

- Co tak cicho?

Pałac zaczął wypełniać się tupotem nóg; wróciły głosy i wykrzykiwały urywane rozkazy. Ale były to nadal dźwięki nieliczne, przytłumione.

W arkadowym przejściu pojawiło się dwóch. Starszy, z twarzą wysmarowaną czymś czarnym - to sadza, czy... Rozerwany to wie. Obrzucił spojrzeniem salę, pokiwał głową i przeklął - dosadnie i długo.

- Powstrzymaj język - powiedział mu Branko. Wojownikowi drgnął kącik ust:

- Proszę o wybaczenie, wiesznicu.

Nadal rozglądał się na wszystkie strony.

- To wszyscy? - zapytał Branko. - Wszyscy... Wrócili?

- Wszyscy - powiedział poczerniały

- Ant... - Z jakiejś przyczyny w piersi zabrakło powietrza, trzeba było je gwałtownie uzupełnić. - Ante Wukowicza widziałeś?

- Przed chwilą - powiedział wojownik i kiwnął koledze. Ten zniknął i Branko usłyszał, jak krzyczy w korytarzu:

- Lejtnant Ante do szpitala!

Lejtnant. On chyba i do generała zdąży się dosłużyć...

- Wiesznic! Wiesznic Branko! - Do sali wdarł się Zdrawko-Żywko i tym razem serce uciekło w pięty, przecucie nie myliło. - Tam Ante... Na schodach... Zupełnie źle...

- Gdzie? - ryknął i rzucił się za rozedrganym chłopakiem. Ktoś wołał za nimi, ale Wukowicz puścił to mimo uszu. Ante siedział na szerokich, okrągłych, marmurowych stopniach, oparłszy się o poręcz.

- Gdzie trafili?

Syn, jak w dzieciństwie, przestraszony ojcowskim strachem, wywrócił oczyma.

- Daj spokój... Nic strasznego, zebra lekko zaczepiło. Krew... To nie moja.

Branko zerwał z niego płaszcz, ostrożnie odsunął od rany brzegi rozerwanej koszuli. Odetchnął z ulgą. Rzeczywiście - troszkę zaczepiło, krwawić już prawie przestało. A mogłoby - w serce. Albo w płuco.

- Tak...! - Od przeżytego strachu na języku zapląsały słowa, których przy dzieciach nigdy nie wymawiał.

- Idiota, po co ojca straszysz? - rugał Ante przyjaciela.

Ten przestępował z nogi na nogę na brudnych schodach:

- Przecież ty ... Myślałem, że ty tu zamierzasz umierać, braciszku...

- Przegraliśmy - powiedział Ante z rezygnacją. - Zupełnie, nieodwołalnie. I księżę zginął...

- Chodźmy stąd - powiedział Branko.

- No tak. - Żużan pojawił się znikąd. - Rozumiem, że pomoc nie nadejdzie.

Wukowicz kiwnął głową.

- Zwijałbyś klinikę, Branko. Bo tego... Przyjdą i sami zwiną, posłuchaj mnie.

Znowu kiwnął.

Dobry brat pochylał się nad każdym, odpuszczając ostatnie grzechy.

- Otóż to, znaczy, wygodniej dla Boga - powiedział mu Branko.

Jednak nie mogę, pomyślał. Nie mogę, nie powinienem, składałem przysięgę... Ratimir to w końcu Sarawijanin, taki sam, jak ci ludzie.

Grzmotnęło; cienkie szkło rozsypało się i przez okno wdarł się chłód.

Leżący w pobliżu ranny skręcał się i starannie tłumił jęki.

- No, wystarczy - nachylił się nad nim Branko. - Pora spać...

Położył mu ręce na skronie, zsyłając słodki, śmiertelnie ciężki sen. O, Rozerwany, jakże się zmęczył...

Dwaj przeszli na Tamten Brzeg samodzielnie, nie czekając jego pomocy. Jeszcze jeden zażądał „eliksirku”:

- Chcę z sobą... bezbożny... Proszę dać, wiesznic...

Ostatni był ten ze skrętem. Działanie ziela zdążyło wygasnąć; leżał, wytrzeszczywszy oczy z bólu.

- Świece - powiedział cicho.

- Co?

- Po co na próżno palić. Przecież wszyscy śpią. Trzeba zgasić.

- Słusznie - powiedział Branko. - Zaraz zgaszę...

Stał w ciemnej sali, z butelką eliksiru w rękach. Zostało niewiele, ale i tego nie wolno zostawiać Ratimirowi.

Jemu samemu przydałby się teraz eliksir. Koczcza koczcza, a ręce nadal się trzęsą. Wystarczyłoby mu kilka godzin otuchy.

Branko nie chciał odchodzić. Nie chciał - przez portal.

- Nie trzeba, wiesznic - bardzo ostrożnie powiedział z ciemności dobry brat, o którym zdążył zapomnieć. - Masz syna, nie trzeba...

Błysnął płomień; do sali wpadł czarnolicy z ogniostrzałem i kazał im wynosić się do kaplicy. Natychmiast.

Potem chwyciły go wymioty, prosto na podłogę w kącie kaplicy. Musiało się tak stać, bo przecież ostrzegali starsi, by nie mieszać wody z koczcza...

- Ojciec? Co z tobą?

Ante. Osłepiające światło, bijące z otwartego portalu, odbarwiło, wybieliło jego twarz.

- Ojciec?

- ... podobny do własnego trupa. - To Żuzan. - Choćby teraz na stół i preparuj. Trzymaj go, synku. I pospiesz się, mówię, za chwilę tu będzie ścisk...

No tak; otworzyli portal. Nie na próżno Rada czegoś takiego nie zaleca.

Branko uchwycił się ramienia syna. Koniec.

Już nie jest magistrem.

Pałac trzeszczał w szwach, w korytarzach rozbrzmiewały głosy, przekrzykujące się w pozornie cudzym teraz języku. Ktoś tłukł wazy, rwał portiery, wylamywał drzwi. Kaplicę też szybko rozwalą - ale przynajmniej nie dostaną już tych, którzy są wewnątrz.

- Pożyję jeszcze - zachichotał Żuzan, nim skoczył w świecący kwadrat i pokazał drzwiom język. W wykonaniu staruszka dziecięcy grymas wyglądał obrzydliwie.

Mój Boże, pomyślał Branko. Jakże pragnę się stąd wydostać...

Wyrzuciło ich na ziemię; na chwilę zapało dech, zachłysnęli się mroźnym powietrzem. Ante zerwał się szybko i, przytupując na śniegu, zaczął rozcierać ręce, z podziwem patrząc na przyprószoną bielą trawę.

Branko niezgrabnie zrobił krok w jego kierunku, przytulił do siebie i długo nie puszczał, wsłuchując się w oddech, którym chłopiec głośno ogrzewał mu szyję.

Widać portalu nie korzystano od elfijskich czasów. Porzucony i straszący klasztor, obok

którego wylądowali, okazał się schronieniem dla podróżników świętego Michała. Zabudowa była częściową ruiną, ale w wielkiej sali, prawdopodobnie będącej kiedyś refektarzem, zachowały się prawie wszystkie witraże w oknach. Jakich by tu nie było przeciągów, dalej tej nocy chyba żaden z nich nie pójdzie.

Wukowicza nie dotykali, zostawili w spokoju. Usiadł pod ścianą, otuliwszy się pożyczonym płaszczem, Ante przytulił się obok. Rana na jego piersi, po obejrzeniu, okazała się małym zadrapaniem. Ktoś krzątał się, by rozpaść ogień. Kto ma siły, niech się krząta. A im jest tu dobrze.

Syn nagle wstał; sennymi oczyma Branko odprowadził go do wyjścia. Najpierw myślał, że chłopiec poszedł za potrzebą, ale zbyt długo go nie było i nisza przy ramieniu Branko pozostawała pusta. I nie dawała zasnąć.

A kiedy wyszedł na zewnątrz, zobaczył, że Ante klęczy w śniegu.

- Co z tobą? - Rzucił się do syna.

- Na powietrze... Musiałem wyjść - powiedział syn niewyraźnie.

- Ach ty, zgniłku... Pokaż...

Oczekiwał, że zobaczy na opasce przesączającą się krew, ale książęce lniane bandaże były czyste. Rozerwany, czyżby zakażenie? Ale gorączki nie ma, ręce i czoło zimne...

- Nie złość się, proszę - cicho poprosił Ante. Patrzył prosto przed siebie, w śnieg, jakby nawet ruch powiek był nadmiernym wysiłkiem. Branko wziął go za podbródek: spieczone wargi, jak po długiej gorączce, zapadłe oczy.

„Przecież dopiero co sam się skręcałeś, braciszku...”

- Synku - oby tylko panika nie sączyła się w słowa. - To rana tak boli?

- Nie boli już... Prawie... Spać chcę... Zmęczyłem się.

- Co ty piłeś, durniu? - już nie szeptał, syczenie. - Piłeś eliksir?

- Mówiłem, że - mowa chłopca zaczynała spowalniać - ty... będziesz... gniewać się...

Branko przytulił syna do siebie, namacał żyłkę na szyi - powoli, Rozerwany, jakże powoli...

- Skąd wzięłeś? Mów! Mów, Ante!

- Ktoś... dał... - język ledwie się poruszał.

Nikt nie mógł dać mu eliksiru, Branko własnoręcznie nalewał go do kubków, nawet Rutka nie dotykała. Czyli wziął sam - i przechował na taki wypadek?

- Tylko nie śpij! Ja ci pokażę, podkradać ojcu leki! Boże, dlaczego?

- Ty byś... nie odszedł... - niewyraźnie powiedział Ante i opuścił głowę na ojcowską pierś. Branko bardziej wyczuł, niż usłyszał, jak powoli, niechętnie, bije za jego żebrami serce.

Położył nieprzytomnemu chłopcu prawą rękę na ciemię, lewą - na pierś; zmrużył oczy i, wciągając ustami ostre powietrze, ciągnął i ciągnął z siebie resztkę siły, próbując wlać w Antego życie, przepchnąć w naczynia, rozgrzać krew w żyłach. Doskonale wiedział, że to bezcelowe - na eliksir nie ma środka. Jego syn jest już martwy od pewnego czasu, a on dopiero teraz zauważył.

Ale mimo wszystko miał nadzieję - kiedy szeptał wszelkie znane zaklęcia, a potem już nie zaklęcia, a modlitwy - i jedno, i drugie jednakowo nie miały sensu; kiedy położył syna plecami na ziemi i naciskał, naciskał na żebra, kiedy próbował napędnąć jego pierś własnym oddechem - miał nadzieję, na którą, szczerze mówiąc, Ante napłuł. Z góry patrzyła na nich obca, zimna pustka.

Branko poprawił rozluźniony węzeł na chustce syna, wyprostował końce. Zapiął płaszcz na piersi, mocniej zaciągnął troki. Wiecznie przecież biega rozebrany na zimnie i nic mu nie powiesz, a potem, naturalnie - leży z przeziębieniem...

Księżyc wyłonił się zza obłoków - rozviała się ciemna noc - i oświetlił obojętną twarz nieboszczyka, niczym nieróżniące się od twarzy tych, których składano w jednakowych pozach za ścianą szpitala. Tych, którym siostra Ruta mówiła, że ból za chwilę minie.

Branko otulił syna swoim płaszczem. Najbardziej raziło go to, że myśli - może myśleć, że go nie sparaliżowało, że ból nie skręcił wnętrzości w pozbawiającym świadomości skurczu.

Czas jakby się zapętlił - od tej minuty, gdy sparaliżowanego strachem Branka babcie-akuszerki rozdzieliły z Drażanką, mówiąc, że to nie męska sprawa... Jakby minione od tego dnia siedemnaście lat odeszło w bezcielesną pustkę.

A przecież powinien szczyścić się synem, odważnym księżącym gwardzistą.

Ta myśl ostatecznie go złamała.

Nie, przecież naprawdę tak mi powiedzą, że powinienem szczyścić się tobą - powiedział do zawiniętego w płaszcz ciała. - A jaka tu duma, jeśli mnie zdradziłeś?

Gdzie, tak naprawdę, go zraniono? Rozpruli płuca, zahaczyli serce? „Jeśli ranny korzystał z Dumy odchodzącego, to dokładne recognitio post-mortem można przeprowadzić dopiero po upływie wielu godzin po śmierci, kiedy iluzja się zatrze i można będzie ocenić oryginalną naturę rany...” Przecież sam to pisał, własną ręką.

A jeśli to nie było śmiertelne, jeśli można było wygoić, zatrzymać, zaszyć? Jeśli Ante po prostu się przestraszył?

Teraz to już nie miało znaczenia. Zarówno śmiertelnie ranny, jak i zdrowy, żyje tylko kilka godzin od momentu przyjęcia eliksiru.

Nie, czy widziałyście takiego idiotę? - rzucił Branko, zwracając się do gwiazd, na które cichutko zaciągała się puszysta koidra obłoków. - Widziałyście?

Co on teraz powie Drażance?

Jeśli powie. Jeśli jeszcze uda mu się wrócić po nią i Jankę.

W jego głowie układało się jasno i dokładnie, co trzeba było zrobić. Zebrać rodzinę i co koń wyskoczy wyjechać do Cezarei, poprosić Radę o protekcję, ukryć się w Łuriczczy - tam nikt by ich nie tknął. To takie proste; nawet nie ma o czym myśleć. W Cezarei ciepło; a Ante na pewno polubiłby uganianie się za byczym pęcherzem z tamtejszą próżniaczą młodzieżą.

- Spodobałoby ci się calcio - powiedział do syna. Ten milczał.

Coś było nie tak; zgrabny łańcuszek za coś zahaczył. Branko nie mógł pojąć, kiedy, w jakim momencie zdecydował się zostać; a najważniejsze - po co?

Przypomniał sobie martwą, zmęczoną twarz księcia.

Zgaście świecę...

Za moment, Ante. Jesteś bohaterem, ale i ojciec twój sroce spod ogona nie wypadł.

- Jakie z nas, dzięki Bogu, zuchy - powiedział do syna. - Jakie zuchy, że zostaliśmy!

Sarkastyczny i straszny śmiech wdarł się w ciemność i stopniowo rozviał w bladej, bezbrzeżnej nocy.

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz

Współpraca: Maria Palichleb

Inne opowiadania Iny Goldin w Fahrenheitcie:

[Santoja](#)

[Przekleństwo](#)